Nr. 4. We Lwowie Poniedziałek dnia 27. stycznia 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

Z Włoch.

Rzym w styczniu 1890 r.

(Choinka na Kapitolu i w klubie artystycznym. — Posiedzenie Arcadii. — Uroczystość w Watykanie. — Stary Rok).

Koniec minionego i początek bieżącego roku zaznaczył się w kronikach wiecznego miasta uporczywą słotą. Dziewięć dni z rzędu lał deszcz bez przerwy, zaś w noc sylwestrową zimno przejmowało do szpiku kości. W wieczór wigilijny na chwilę zamknęły się opusty niebieskie, z czego skorzystałem, by przypatrzeć się choinie, wyprawionej dla dziatwy kolonii niemieckiej na Kapitolu. Małą kapliczkę przybrano w zieleń zasłaniającą ołtarz, którego miejsce zajęła szopka i olbrzymia choinka przybrana w świeczki, świecidła i cacka, ku którym dziatwa pożądliwe zwracała spojrzenia. Jeszcze przed trzydziestu laty choinka była tu zupełnie nieznaną i z trudnością tylko można było dostać odpowiednie drzewko. I dziś jeszcze cena drzewka jest bardzo wysoka, za sztukę płaci się 5—6 lirów. Dla mniej zamożnych istnieją wypożyczalnie choinek osadzonych wraz z korzeniem w doniczce. Widziałem też choinki w domach angielskich, lecz dopiero w dzień Starego Roku. Jednakowoż ich *Christmastree*, na które prócz dziatwy zaprasza się też dorosłych i które zaraz bywa ogołocone z ozdób, nie posiada uroku naszej choinki. Bardzo piękną myśl wprowadziła w życie młoda hrabina Pasolini, która przesłała ładnie przystrojone drzewko wraz z setką odpowiednich podarunków do dziecięcego szpitala sióstr miłosierdzia. Była to prawdopodobnie pierwsza choinka wśród włoskiej dziatwy, dla której w święto Bożego narodzenia urządzają tu szopkę. Jak zwykle, tak i w tym roku królowa Małgorzata robiła w sklepach osobiście zakupy podarunków świątecznych. Dworska żałoba stanęła jednak na przeszkodzie w ceremonii rozdawania podarunków, które rozesłano szczęśliwym wybranym do domu. Piękna monarchini nie zapomniała nawet o nauczycielkach instytutu dla sierót w Anagni i przesłała im obfite zapasy różnorodnych słodyczy.

Osobną choinkę urządzili też sobie niemieccy malarze i rzeźbiarze w swym klubie. Uroczystość ta odbyła się w dniu 26. z. m. przy udzi[illegible] około dwiestu osób. W oświetlonej prześlicz[illegible] sali balowej ustawiono w samym środku olbr[illegible]mie drzewo sięgające szczytem do stropu. [illegible] dekoracja choiny odznaczała się prócz przepychu także fantazją i gustem — o tem chyba rozwodzić się nie potrzeba. Deklamacja i popisy instrumentalno-wokalne złożyły się na zajmujący program tego zebrania, na którem prócz członków niemieckiej ambasady, świat dyplomatyczny był reprezentowany przez przedstawicieli Szwajcarji, Austro-Węgier i Bawarji.

„*Arcadia*“ święciła uroczystość Bożego Narodzenia uroczystem posiedzeniem, na które każdy ma prawo wolnego wejścia. Posiedzenie to odbyło się w dniu 29 grudnia w popołudniowej porze. Nieco ponura sala w pałacu Altieri, której ściany pokrywają portrety słynnych pasterek i pasterzy, przybrała odświętną szatę. Wśród dekoracji zwracały ogólną uwagę przepyszne kandelabry sewilskie, dar papieża, wydzielony *Arcadii* z ofiar jubileuszowych. Na trybunie obok przewodniczącego msgr. Bartoliniego zasiedli poeci, którzy mieli zamiar wystąpienia z oryginalną pracą. W wyborze tematów do tych utworów panowała pewna monotonia. Były to niemal wyłącznie poezje ku uczczeniu święta Bożego Narodzenia, bądź też poświęcone wspomnieniu rzezi niewiniątek i ucieczki do Egiptu. Miłą bardzo niespodzianką dla polskiego ucha był polonez Chopina, którym zainaugurowano produkcje wokalne. O wrażeniu rodzimych dźwięków na obczyźnie ten tylko może mieć wyobrażenie, kto długie lata musiał przepędzić zdala od swoich.

Następnie uczony Augustjanin pater Vinzenzo Semenza wygłosił odczyt wymieniony przeciw tym nowoczesnym pisarzom (*J Moderni*), którzy opracowywali życie Chrystusa. Bonghi nie został wyraźnie wymieniony, jakkolwiek i jemu zarzucono, że choć trzymał się tekstu ewangelii, to mimoto przedstawił mniej wzniośle postać Zbawiciela. Głównie atoli piorunował pater Semenza przeciw filozofii niemieckiej, przeciw Renanowi i Straussowi“. Nad tym ostatnim znęcał się pater bezlitośnie. Między innemi powiedział: „Dlatego należałoby wystawić osobny szpital dla obłąkanych, gdzieby on sam tylko siedział. I to stałoby się niezawodnie, gdyby Strauss nie był Niemcem“. Hnczne: *benissimo* wtórzyło słowom żarliwego mowcy. Swoją drogą pozwalam sobie powątpiewać, czy przeważna część zgromadzonych słyszała cośkolwiek przedtem o Straussie. I sam prelegent instygujący tak zawzięcie za zamknięciem biednego Straussa do domu obłąkanych, zdawał się zapominać, że uczony niemiecki oddawna już opuścił padół ziemski.

W Watykanie odbywał się w dniu 30 grudnia z. r. uroczysty konsystorz, na który za pośrednictwem znanego mi oficera z szlacheckiej gwardji zdołałem uzyskać wstęp do trybuny. Przybywszy na godzinę przed początkiem uroczystości zaledwo z biedą zdołałem sobie zdobyć krzesło w ostatnim rzędzie w górze trybuny. Papiescy *bussolanci*, wskazujący miejsca

wyglądają w swych fioletach tak wspaniale, iż pewna Angielka mniemała, że ma do czynienia z jakim prałatem.

— *No sono un bussolante, proprio della famiglia del papa*! tłómaczył się jasnowłosej lady uprzejmy służący.

— Nic to nie pomogło. Angielka skł niła mu się z zdwojoną atencją, myśląc, iż wyraz *famiglia* oznacza najbliższą rodzinę papieża.

Tak więc i podczas oczekiwania zdarzają się humorystyczne epizody.

Sala Regia przedstawiała się w tym dniu imponująco. Szwajcarowie w swym malowniczym stroju tworzyli szpaler między zgromadzonymi dla ułatwienia przejścia kardynałom, którzy jeden po drugim w asystencji świty przybywali na salę, by udać się do przyległej *Sala Ducale* gdzie szykował się uroczysty pochód.

Na lewo od nas mieś iła się trybuna ciała dyplomatycznego, wśród którego wyróżniał się szkarłatny uniform reprezentanta Wielkiej Brytanii. Wśród dyplomatów zasiadło też kilka pań. W przeciwległej trybunie przeznaczonej dla tutejszej arystokracji nie wszystkie miejsca były zajęte. W kole pań, które się tu mieściły, urodą, i wdziękiem jaśniała młodziuchna hrabina Soderini, z domu Polka. Mąż jej w świetnym mundurze, zasianym orderami zajmował w pierwszym szeregu miejsce na sali. Jest on nietylko oficerem szlacheckiej gwardji, lecz nadto posiada wysoki urząd w *dataryi* i jako znakomity publicysta cieszy się szczególniejszymi względami Leona XIII, który umie należycie oceniać ludzi talentu.

Już po godzinie dziesiątej rozwarły się na oścież wspaniałe podwoje, i wysoko ponad głowami zgromadzonych ukazał się papież w swej złocistej *sedia gestatoria* wśród wachlarzy z piór strusich i pawich. Przeniesiony przez całą długość sali, zajął miejsce na przygotowanym na znacznem podniesieniu tronie. Na białej szacie miał purpurowy płaszcz aksamitny, przetykany złotem. Drogocenny pektorał spoczywał na piersi następcy Piotra, sędziwe jego skronie wieńczyła ... Oblicze Leona XIII. pokrywa przejrzysta bladość rysy twarzy zdradzają wycieńczenie. Tylko oko zachowało swój dawny blask, ów wyraz przenikliwości umysłu. W tem schorzałem ciele spoczywa duch zawsze silny i nieugięty!...

Za papieżem postępował długi szereg kardynałów, którzy zasiedli po prawej i po lewej stronie tronu. Teraz dopiero wprowadzono świeżo mianowanych kardynałów, którzy do tej pory przebywali na modłach w kaplicy sykstyńskiej. Byli to arcybiskupi Paryża, Lyonu i Pragi. Wszyscy trzej wystąpili w ciemnych płaszczach z brokatu, biało bramowanych i zaopatrzonych w duże kapuzy. Nastąpiła uroczystość obwłóczyn w purpurę. Nowy książę kościoła klękał następnie na stopniach tronu, na głowę zarzucano mu kaptur, podczas gdy dwaj asystujący mu księża trzymali nad jego głową kapelusz kardynalski. Całował pierścień i pantofel papieski, poczem przystępował do starszych kardynałów i zamieniał z nimi uścisk. Podczas tej ceremonii papież odczytywał głośno przepisane modły i zakończył błogosławieństwem wypowiedzianem podniośle i z siłą. Gdy go wynoszono po skończonej uroczystości wyglądał bardzo zmęczony. Kardynałowie i przeważna część zgromadzonych udali się ztąd do kaplicy sykstyńskiej, gdzie odspiewano *Te Deum*. Świeżo mianowani kardynałowie klęczeli podczas hymnu u ołtarza, nad którym widnieje Sąd ostateczny Michała Anioła. Cała uroczystość wywarła wrażenie głębokie, pamiętne na długi szereg lat.

Ostatni dzień kończącego się roku przemijał cicho i bez wrzawy. Tylko cudzoziemcy rozmaitej narodowości kupili się w towarzyskie grona, by wyczekiwać uderzenia północy. *Buon anno* brzmiało radośnie w tej chwili wśród szczęku szklanek napełnionych szumiącem Asti. I z niejednej piersi serdeczne, choć ciche życzenie uleciało gdzieś daleko na północ, nad brzegi Wisły, Dniestru i Warty... *Buon anno*!...

„Wielki szlem“.

(Ciąg dalszy).

Nie było co robić — gospodarze dla gości powinni być względni. Pan Marek biegał z herbatą, pani przynosiła ciastka, mały Micio pomagając rodzicom roznosił koszyczki z owocami, a tu co chwila zwracano się do uprzejmego gospodarza z prośbą to o kawałek cukru, to o kropelkę araku. Usłużny pan Marek biegał, sapał, aby dogodzić gościom, którzy raczyli grać u niego kilka robrów winta.

Panna Julja czekała narzeczonego... Ale Adasiowi szła karta szalenie. Koronki, asy honory sypały się jak z rękawa.

Po skończonej herbacie panie przeszły do bawialnego pokoju. Bawiły się jak mogły z sobą bo choć było kilku niewintujących wcale mężczyzn, ale i ci otoczyli stoliki i wytrzeszczywszy oczy, patrzyli w karty grającym. Pan Marek się potrajał, a że był dosyć dowcipny, udawało mu się niezgorzej płeć piękną zabawić. Jedna tylko panna Julja usiadła na uboczu, a miała brew lekko ściągniętą i lewą piąstkę ściśniętą nieco.

O czem myślała? Bóg raczył wiedzieć!... Czasami tylko fala krwi zabarwiła nagle jej policzki, brewki się mocniej ściagnęły i zawachlowały nozdrza. Pan Marek rozruszał towarzystwo, zaczęto się bawić w „przysłowia“ ale ona wyprosiła się od tej gry towarzyskiej i wysunąwszy się do sąsiedniego pokoju, zajęta myślą jakąś usiadła w kąciku.

Koło godziny jedenastej zaskrzypiały sanie przed domem pana Marka, nowy gość przybył. Gospodarz rozejrzał się po salonie... kto to był? Nie brakło nikogo ze znajomych.

Odezwał się dzwonek.

Pan Marek skoczył — i po chwili dało się słyszeć w przedpokoju głośne: a! powitalne, później pocałunki trzykrotne, wreszcie słowa pana Szczawskiego.

— Niespodzianka! niespodzianka!...

I oto w drzwiach salonu stanął mężczyzna

razie twarzy; wąs ciemny i krótko ostrzyżona broda, dodawały więcej jeszcze męskości tej nagle przybyłej postaci.

Pan Marek podprowadził gościa i zaczął po kolei przedstawiać paniom.

Był to Zygmunt Morosz, syn przyjaciela pana Szczawskiego. Ojciec mu zostawił wioszczynę maleńką, w której gospodarował uczciwie. Pospłacał długi, jakie na majątku ciążyły, sam od rana do wieczora pracował w polu, bo kochał swą ziemię i nie oddałby jej za wszystkie skarby świata... Nagle przed rokiem opuścił ojcowiznę i znikł gdzieś, zostawiając gospodarstwo całe na Opatrzności Bożej. Dla czego tak zrobił? nie udało się sąsiadom prawdopodobnej nawet ploteczki ułożyć. To nagłe zniknięcie było tak niespodziane, jak niespodziane zjawienie się obecnie. Cóż więc dziwnego, że: a! pan Marek zakrzyczał... że: ach! odezwało się z ust pań i panów.

Przedstawiwszy nieznajomym gościa swojego, gospodarz poszedł z nim do siedzącej samotnie panny Julji.

— Pan Zygmunt — zaczął.

— Znam panią — odpowiedział gość — i ująwszy dłoń wyciągniętą przez panienkę, uścisnął lekko. Pan Marek chciał go do herbaty prowadzić, ale przybyły widząc siedzącą w oddaleniu od towarzystwa pannę Julję, przysunął krzesło i usiadł koło niej.

— Natrętnym może jestem? — zapyła..

Panna Julja uśmiechnęła się...

— Odpowiadasz mi pani uśmiechem — to dobrze! Ale... co za niespodziewane spotkanie! Czy rodzice pani nie mieszkają już na wsi, że spotykam panią w tem prowincjonalnem miasteczku wołyńskiem.

— Na parę tygodni zimowych przyjechałam tu z ciocią — ot! dla rozrywki.

— Nudziłaś się pani na wsi?

— Może mniej niż tutaj.

— A: to ładna rozrywka... Towarzystwo jednak jak widzę, jest wesołe, panią tylko zastałem samotnie siedzącą w tym kąciku... Ale prawda — w towarzystwie kwiatów!

Panna Julja rzuciła okiem na wazony py-

— Nie zauważyłam ich sąsiedztwa — odpowiedziała.

— Sąsiedztwa kwiatów?... to dziwne!... pani która je tak lubiłaś zawsze... szczególniej narcyzy.

— Narcyzy?... A tak! Ale pan masz dobrą pamięć.

— I zdaje mi się — ciągnął gość powoli— że narcyzy... pełne.

Dobył pugilares z bocznej kieszeni surduta i wyjmując kwiat zeschnięty, pokazał go Julji.

— Ot! takie — dodał.

Panna Julja spojrzała w źrenice mężczyzny, na którego twarzy odmalował się wyraz rzewnego smutku.

— A! — rzekł po chwili — czy to nie śmieszne, pani, nosić przy sobie kwiaty?... Jeszcze romantykami jesteśmy, pomimo wszelkich wysiłków trzeźwego naszego wieku. Scenę taką przedstaw pani w powieści, a nawet się odezwą głosy krytyków, że autor na dawnych strunach romantyzmu gra jeszcze... I zdrowe posypią się rady, żeby się pozbył sentymentalności, na życie patrzał trzeźwiej, przedstawiał ludzi takimi, jakimi są, nie jakich mu rozogniona jego fantazja podsuwa. Bo rzeczywiście! spojrz pani na mnie!... Mam lat trzydzieści i sześć... Zmarszczków kilka na czole mówią może o myślach poważnych i głowie niezupełnie pustej. A nie trzeba i tylu lat w dzisiejszym, siłą pary pędzącym naprzód wieku, aby pozbyć się wszystkich złudzeń, szczególnie tych dobrych, złotych pierwszej młodości złudzeń! Zużywa się na świecie wszystko, a może najprędzej serce człowieka. Miłość — wzruszył ramionami — to dobre dla gołowąsych studentów i niedojrzałych pensjonarek. Bawią się w „zielone“, chowają wstążeczki przez bogdanki swe uronione, strzelają się nawet, gdy srogi ojciec do nauki błaznów zapędza... Ale — ja naprzykład, który nie pamiętam już roku, kiedy stawałem do egzaminu dojrzałości — ten zeschły kwiatek narcyza noszę przy sobie, jako najdroższą pamiątkę kilku szczęśliwych chwil życia...

Umilkł, w kwiat się zapatrzył, dwie łzy

Pannie Julji serce uderzyło... miłością bliźniego.

— Czy ten kwiat, który pan nosisz przy sobie, ta droga pamiątka, nie jest czasami w związku z nagłym wyjazdem, z usunięciem raczej pana z rodzinnej jego wioski?

— Tak pani — odpowiedział Zygmunt.

— Wypadkiem może, ale mnie pan wybrałeś na powiernicę swoich smutków; może pozwolisz pan, żebym i nadal w tej roli została?...

— Słucham pani.

— Nie, ja chcę słuchać pana. Przeczytałeś mi pan wstęp bardzo ciekawej powieści — czekam końca... Bądź pan szczery, a wzajemnością mu się odpłacę. Co znaczył ten niespodziewany, tajemniczy tak wyjazd pański?

— Pani nie wie?

— A któż mógłby mi o tem powiedzieć?

— Choćby sąsiedzi.

— O! mogę panu zaręczyć, że to dla nich nierozwiązaną dotąd zagadką zostało; nie udało się im żadnego wątku uchwycić do wytworzenia choćby niewinnej ploteczki.

— Bodzice pani nic nie mówili?

— Nic a nic, do tych niewiadomskich należeli i oni.

Pan Zygmunt wpatrzył się w twarz siedzącej naprzeciw dziewczyny, jakby nie wierzył jej słowom wreszcie jakiś uśmiech lepszy na ustach mu zawitał, i rzekł półgłosem.

— Może lepiej że tak się stało... spokojniej pani będzie słuchała powieści mojej...

— Więc zaczynaj pan! pan musiałeś się kochać?

— Tak!

— I być kochanym?

— Tego nie wiem...

Teatr i obyczaje.

Ceniony krytyk francuski J. Weiss, wydał sporą książkę p. t. „Le thèatre et les moeurs“, będącą zbiorem jego feljetonów krytycznych, drukow. nych w „Journal des Debats“, i „Revue des deux mondes“.

Całość ta ma tę wadę, iż brakuje jej... całości. Każda z tych recenzji w swoim czasie była świetną, poruszającą częstokroć wiele zagadnień na porządku dziennym będących, pełną trafnych uwag spostrzeżeń i dowcipu. Razem wzięte, nie wiążą się one z sobą, każda jest luźnym artykułem, z których niejeden pokrył się już pleśnią,

Najciekawszą z całej książki jest przedmowa, w której autor dzieli ostatnie lat kilkadziesiąt na dwie epoki. Początek pierwszej to pamiętny r. 1830, w drugiej to zamach stanu z d, 2-go grudnia r. 1852. Francja w tych dwóch epokach odmiennie kształtowała swego ducha i pojęcia. W r. 1830 całe społeczeństwo francuskie było pełne zapału. wiary, miłości i ideałów. Wszyscy upajali się myśleniem, każdemu przyznawano prawo do szczęścia. Duch i myśl górowały nad wszystkiem, a potędze ich nic się oprzeć nie miało. Cousin głosił z katedry „pogardę dla faktów“, a paradoks ten entuzjastycznie oklaskiwano w całej Francji. Trzeźwy Guizot, nawołujący do materjalnego zbogacenia się, obrzucany był gradem obelg. Bohaterskie czasy, w których szlachetna duma zawsze szła w parze z ubóstwem, były ideałem społeczeństwa. O sile przed prawem nikt nie śmiał wspominać. Dopiero zamach grudniowy wywołał reakcję. Ustał polot w błękity, zginęły wymowa, poezja, zapały religijne i polityczne. Na gruzach romantyzmu nic nowego nie postawiono... W literaturze pracuje szorstkość, a szumny frazes wystudzone pokrywa uczucia. „Nigdzie nie widać polotu, ani wykwintności. Giniemy w pospolitości i komunale“.

Ciekawy bardzo w tej przedmowie jest ustęp porównywający Ludwika Filipa z Napoleonem III. marzycielem i bohaterem romansu; świeżo wykryte szczegóły tyczące się przyczyny śmierci Napoleona, o których jeszcze Weiss nie wiedział, dowodzą trafności jego spostrzeżeń.

W samej treści książki znajdujemy między innemi dobrą charakterystykę powieści historycznej.

Krytykowi nie imponuje ani wielkość Wiktora Hugo, ani dzisiejszy zwrot literatury do czasów[illegible] realizmu. Realizm obywa się bez smaku i rozumu, ze sztuki zachowuje tylko obserwację, rzeczy bada tylko powierzchownie i instynktowo, w miejsce uczuć kładzie znaki, w miejsce poruszeń duszy ruchy ciała, pomija poezję nawet tam, gdzie ona sama z życia wyrasta. Erę realistyczną, rozpoczętą przez Aleksandra Dumasa, strąca z piedestału naturalizm Zoli. Ten ostatni zamiast wyrażać naturę, chce ją kopjować najdokładniej, zamiast jej udzielać wyrazu, próbuje ją oddać ze strony dotykalnej i widomej. Pretensja zidentyfikowania sztuki z naturą i rzeczywistością rozbija się o materjalne, a nieprzezwyciężone trudności. Ptaki próbujące dziubać winogrona Zeuxisa, przekonały się tylko o łudzącem naśladowaniu. Ucieszyły się i nasyciły tylko ich oczy, a nie zażyły przyrodzonej rozkoszy upojenia się winną macicą. Występując przeciw wystawieniu na scenie sromotnych postaci Zoli, przytacza p. Weiss trafne słowa Dumasa syna: „W potocznem życiu pełno bywa rzeczy, o których mówi się we dwóch. a zamilcza się wobec trzeciego! Otóż w teatrze ten trzeci znajduje się zawsze“...

Dumasowi synowi przyznaje krytyk mistrzowską znajomość kobiety. To też posiada ona zawsze w utworach Dumasa wdzięk, tajemniczość i urok życia. Za to mężczyzny Dumas nie zna prawie całkiem; żaden z nich nie przekracza najpospolitszej prozy. Dumasa stać na stworzenie powiewnych i etycznych typów, czerpanych w ogromie fantazji, ale nie dojdzie on nigdy do psychologicznego znawstwa ludzkich namiętności i porywów. Słaby w sztuce obserwacji, nigdy nie widzi przedmiotów we właściwem świetle, ani w rzetelnych rozmiarach, a układa po swojemu rzeczywistość, stwarza rzeczy jak je mieć chce... Stąd też tezy jego nie zdolne są przekonać i olśniewają tylko przelotnie, jak zręcznie obmyślany fajerwerek.

W ogóle ciekawych i trafnych uwag nie brak w książce p. Weissa; jest tam wiele i erudycji dramatycznej, wiele i wytrawnego smaku, ale pomimo to całość jest nudna i nużąca.

Tytuł jej też nie odpowiada treści, bo „obyczajów“ współczesnych nigdzie autor nie porusza, z wyjątkiem przedmowy, która też jest, jak to już zaznaczaliśmy, najlepszą częścią całego dzieła.

Cz.

Do dziewczyny.

Płaczesz, że wichry rozwiały
Listeczki róży,
Niech się twe czoło rozchmurzy,
Róża to kwiatek nietrwały,
Szybko usycha.

Jak kamelon się zmienia,
Barwy jej giną...
I żal mi ciebie dziewczyno.
Jeśli czerpałaś wspomienia,
Z róży kielicha.

Wspomnienia twoje pobledną
Z kwiatka utratą,
A kiedy nadejdzie lato.
Zastąpisz różyczkę biedną
Przez godła świeże...

Twe serce jest białą kartą,
Przejrzystem zdrojem...,
Nie wątpię o sercu twojem,
Lecz w wiotką, na kwiatach wspartą.
Miłość... nie wierzę.

Dziewcze, pamiętaj me słowa,
Rzuć liść różany.
Wspomienia w sercu się chowa,
Tam skryte, jak talizmany
Trwają najdłużej!

Tam one korzenie szerzą
I bujnie rosną,
Tam mają zimą czy wiosną
Woń miłą i barwę świeżą...
Więc nie płacz róży!

Marja Elżbieta.